

DAWID KAIN



WSZYSTKIE GRZECHY
KORPORACJI

SOMNIUM

WSZYSTKIE GRZECHY
KORPORACJI
SOMNIUM

DAWID
KAIN



WSZYSTKIE GRZECHY
KORPORACJI
SOMNIUM

WYDAWNICTWO
IX
Kraków 2020

Tytuł: *Wszystkie grzechy Korporacji Somnium*

Autor: Dawid Kain

Copyright © 2020 by Dawid Kain

Copyright for the cover art

© Krzysztof Biliński

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Redakcja: Katarzyna Koćma

Korekta: Krzysztof Biliński

Projekt, skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Krzysztof Biliński

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-957400-5-3 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-957400-4-6 (oprawa miękka)

S PIS TREŚCI

MATKI NA PRZEMIAŁ

7

WERSJE

23

CIAŁO I KREW

37

DWADZIEŚCIA TRZY MINUTY

55

MUZEUM SNÓW

69

KSIĄŻE KŁAMCÓW

85

MONUMENT

115

MATKI NA PRZEMIAŁ

Podobno to wszystko wina naszych matek. Tak przy najmniej powtarzał Edward, mój dawny przyjaciel, a potem zazwyczaj wyskakiwał przez okno, rozpryskując się kilka pięter niżej. Jakby naiwnie liczył, że za którymś razem to w końcu zadziała.

Nigdy nie zadziało. Zawsze odrastał i już po paru minutach znów stał przede mną ze skrzywioną miną. Jego srebrne, ściekające na brodę łzy aż lśniły od nano. Czasem wrastały mu w twarz i miał wtedy na policzkach paciorkowate wybrzuszenia, znikające dopiero podczas snu.

Ostatni raz widziałem go trzy lata temu. Wtedy uciekł z Krakowa. Nie mam pojęcia, co od tamtego czasu się z nim działo.

Mam nadzieję, że jednak mu się poszczęściło.

Że znalazł jakiś sposób.

Że nareszcie umarł naprawdę.



Wszyscy ponurzy prorocy minionych dekad grubo się pomylili. Nasze miasta nie zostały wcale obrócone w ruinę. Nasze zasoby naturalne stały się niewyczerpane. Nikt nie musi walczyć o przetrwanie. Mamy wszystko i jesteśmy nieśmiertelni. Osiągnęliśmy to, o czym zawsze marzyliśmy: staliśmy się bogami. Ewolucja nie ma innych szczytów. Jesteśmy koroną stworzenia.

Pozostał tylko jeden problem: innego końca nie będzie.



Samobójcza mania Edwarda natchnęła mnie do pewnej zabawy. Z mieszkania najczęściej wychodzę, skacząc przez okno. Osiem pięter spadania to jedna z tych drobnych przyjemności, których trudno sobie odmówić. Potem jest jeszcze lepiej. Pojawia się ta nietrwała, lecz niemal wywołująca orgazm ciemność, w której znikasz, gdy twoja czaszka rozpięta się o chodnik. Albo to kojące odrętwienie, trwający kilka bezcennych sekund paraliż, jeśli uda ci się przeżyć upadek i złamać sobie kręgosłup. Chwila spełnionych marzeń o tym, że jednak nie jesteś wszechmocny.

To jedyne momenty, w których nadzieja odżywa, ale wyłącznie na mgnienie, bo zaraz umiera znowu, dokładnie w momencie, w którym zmartwychwstajesz. Odradzasz się, odrastasz, połamane kości znów są nie naruszoną całością, odzyskujesz władanie nad wszystkimi kończynami.

Ulica, której częścią jeszcze przed chwilą byłeś, wydaje się miękka, niestabilna, płynna. Jakby asfalt – jak ty

cały – też falował od nano. Jakby atomy szkła i cegieł były tylko wirtualną atrapą. Jakby nic nigdy nie było prawdą.

§

Odrastam w szybkim tempie, mięśnie i ścięgna momentalnie spływają na bezbłędnie zrekonstruowany szkielet. Wraca nawet ubranie, nie jest pokrwawione i nie jest podarte.

Rozglądam się wokół. Po drugiej stronie ulicy stoi nagi mężczyzna. Zupełnie nie zwrócił uwagi na mój efektowny skok. Nie takie rzeczy widywał. Nie takie rzeczy robił.

Onanizuje się, popijając coś z archaicznej szklanej butelki.

Chichocze nerwowo, w chwili ejakulacji ciska butelką o ścianę kamienicy, gdzie ktoś napisał sprayem „Niech gnije, gnije nam!”.

Nasienie kapie na płyty chodnika, ale musi być pełne nano, bo z każdej połyskującej na betonie kropki od razu wyrastają jakieś przeczące rozsądkowi pseudo-rośliny: kręte czerwone łodygi, czarne pnącza, sine jak guzy pąki nienazwanych owoców. Po kilku sekundach wiedznią, rozsypują się w srebrzysty pył i znikają.

Mężczyzna skrzeczy ekstatycznie, a potem znów zaczyna się doić. Jakby liczył, że za którymś razem uda mu się osiągnąć inny efekt. Jakby wierzył, że w tym świecie jakakolwiek zmiana jest możliwa.

Uszkodzone nano. Widywałem już podobne przypadki. Czasem tworzy nieistniejące wcześniej, nietrwałe formy roślinne lub zwierzęce, czasem zaś ludzkie kopie. To podobno ekstremalnie rzadkie, ale zdarza się, że chorym rezultatem onanizmu bądź defekacji jest kilka

twoich własnych klonów. Żyją po dwie-trzy godziny, nie więcej. Są z mięsa i kości, oddychają i nawet mru-gają. Ale nic innego nie robią, stoją tylko nieruchomo, tępo gapiąc się w pustkę. Później zaczynają się kruszyć i nie trzeba długo czekać, aż jedyną pozostałością ich niedawnego istnienia jest kupka srebrnego popiołu.

Szczęściarze.



— To wszystko wina naszych matek — mawiał Edward, podryznając sobie gardło, wbijając szpikulec w oczy, celując nożem w tętnice udowe.

Właściwie miał sporo racji. W końcu to matki decydowały, czy będą w czasie ciąży przyjmować szczepienia z pierwszą, eksperymentalną jeszcze partią nano. Wprowadzone przez Korporację Somnium rozwiązanie miało uchronić płody przed wszelkimi zagrożeniami okresu prenatalnego. Nie można powiedzieć, żeby w tych zapewnieniach kryło się jakieś kłamstwo. W końcu ani podczas terapii, ani po jej zakończeniu nie zmarło nawet jedno dziecko. Wszyscy bez wyjątku urodziliśmy się zdrowi. Więcej – w ogóle nie mogliśmy zachorować. Krążąca w naszych ciałach technologia natychmiast eliminowała niebezpieczne bakterie, wirusy czy stany zapalne, sklejała pęknięcia i złamania kości, uzupełniała braki witamin oraz minerałów. Nie musieliśmy jeść ani pić, choć oczywiście mogliśmy. Nadmiar tkanki tłuszczowej spalał się automatycznie. Dzieciaki takie jak my nie mogły cierpieć ani na patologiczną otyłość, ani na anoreksję. W ogóle każde nasze cierpienie trwało ledwie chwilę. Z wyjątkiem tego psychicznego. Ono nie mijało nigdy.



Idę znudzony przez krakowski Rynek, wiedząc doskonale, że wygląda dokładnie tak, jak na początku wieku, a i za pięćset lat nic się tutaj nie zmieni. To miejsce – wszystkie inne także – jest zamrożone w czasie. Gdy ktoś postanowi zdetonować bombę w Sukiennicach, następnego dnia budowla znów będzie tu stała – w dokładnie tym stanie, co zawsze.

W naszej rzeczywistości żadna trwała zmiana nie utrzyma się dłużej niż kilka godzin. Można przenosić przedmioty, ale nie można ich zniszczyć. Zawsze wracają. Zawsze odrastają, tak jak my wszyscy.

Wędruję opustoszałą Floriańską, zerkając apatycznie na witryny sklepów, w których dalej widać towary sprzedawane tu w trzeciej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. Nikt oczywiście już nie pracuje, nie ma żadnych sprzedawców. Nano zapewnia nam przecież wszystko, czego trzeba.

Z drobnymi wyjątkami.

Nie możemy mieć dzieci.

Nie możemy umierać.



Anna mieszka na Pawiej, za oknami ma gigantyczny grobowiec dawnej Galerii Krakowskiej. Czasami włóczymy się razem po pustych piętach, jeździmy ruchomymi schodami, które nigdy się nie zepsują ani nawet nie zatną. Możemy jeść obwarzanki, które nadal leżą na stoisku na drugim piętrze. Nie są wprawdzie specjalnie ciepłe czy chrupiące, ale smakują tak, jak

smakowały kiedyś. Bo to są te same obwarzanki, które sprzedawano tutaj 13 września 2024 roku, czyli wtedy, gdy wszystko się skończyło. Nano skopiowało je idealnie. A nawet lepiej – po zjedzeniu zawsze odrastają.

Dzisiaj jednak nie wybrałem się do Anny po to, żeby błąkać się z nią po sklepach czy tracić czas w restauracjach, gdzie na talerzach nadal leżą posiłki sprzed lat, nie psując się, nie gnijąc ani nie pleśniejąc. Moja przyjaciółka twierdzi, że znalazła w okolicy nową, dziwną anomalię. Tacy, jak my prawie nigdy nie używają słowa „dziwny”. W dziwnym świecie byłby to czysty absurd.

– Musisz to zobaczyć – zawyrokowała, dzwoniąc do mnie rano. – To cholernie dziwne. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Gdybym był jeszcze w stanie odczuwać niepokój czy podekscytowanie, słysząc jej słowa, pewnie tak właśnie bym się poczuł. Ale my z reguły niczego nie czujemy, więc powiedziałem tylko, że będę za godzinę.



Nie muszę nawet dzwonić domofonem – Anna już stoi przed kamienicą, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

— Gdzie się pali? — żartuję niemrawo, bo przecież wszyscy wiemy, jakie nano ma problemy z imitowaniem płomieni.

— To dużo lepsze niż ogień, możesz być pewien — odpowiada, uśmiechając się i łapiąc mnie za rękę.

Pamiętam, jak kilkanaście lat temu łączyło nas coś więcej niż przyjaźń. Dojrzewanie jedyne ocalałego pokolenia, „pokolenia N” – jak sami się nazwaliśmy, bywało burzliwe. W końcu nastolatki zazwyczaj wykazują nasiloną predyspozycję do zachowań granicznych

i ryzykowania własnym życiem, by zrobić coś strasznie głupiego. My nad swoimi poprzednikami mieliśmy znaczną przewagę. Po pierwsze, nikt nas nie pilnował: wszyscy dorośli wyginęli tamtego pamiętnego dnia, gdy samoreplikujące się nano po serii niekontrolowanych wycieków oczyściło całą planetę z materii żywej. Po drugie, nie mogliśmy umrzeć, więc nic nam nie groziło.

Annę poznałem na jednej z tych absolutnie dzikich imprez, które lubiliśmy urządzać w czasach, kiedy jeszcze byliśmy rozwyrzonymi dzieciakami, zachłystującymi się własną nieśmiertelnością. Mogliśmy ćpać, ile wlezie, bo niestraszne nam było żadne przedawkowanie. Mogliśmy się pieprzyć, z kim popadło, bo zapłodniony zarodek był automatycznie likwidowany jako zaburzenie wzorca ciała, nie dało się też zarazić żadną chorobą weneryczną.

Patrząc na jedyny w swoim rodzaju uśmiech Anny, przypominam sobie tamten wieczór, staje mi przed oczami ciemne wnętrze, po którym buszują porozbierane do naga, rozwrzeszczane nastolatki. Jakaś para w łazience bawi się w wampiry, przegryzając sobie tętnice szyjne i chłepcząc posokę, nim rana automatycznie się zagoi. Na dywanie w salonie kilka kształtnych wypiętych dup. Zaspokajana przez dwóch kolesi brunetka dostaje orgazmu, który jest tak potężny, że przypomina atak epilepsji. Blady z wycieńczenia chłopak zaczyna rzygać, ale z ust wypływają mu strzępy skóry, mięsa i kości, urwane dłonie i stopy, a nawet kilka nosów oraz gałek ocznych, jakby zwracał światu wszystkie nieudane klony, które w sobie nosił – poważnie uszkodzone nano, próbujące na bieżąco zreplikować to, co wcale replikacji nie wymaga.

Anna siedziała nago na blacie w kuchni, skrzyżowane nogi, wydawała się znudzona, jakby to była już dziesiąta taka impreza z rządu – a może setna? – więc przedstawiłem się i powiedziałem, że chcę jej coś pokazać, coś zupełnie innego. Zgodziła się dopiero po chwili, wspięliśmy się razem aż na dach.

Stojąc na krawędzi dachu, posuwałem ją potem od tyłu, mocno ściskając piersi i szepcząc, żeby dała znać, kiedy będzie dochodzić. A gdy jęknęła „teraz”, szarpnąłem ostro i zeskoczyliśmy z tego dachu jednocześnie, jednocześnie też uświadomiliśmy sobie, że dłużej już nie wytrzymamy, i spadając, czułem, jak jej mięśnie zaciskają się spazmatycznie; zanim to się skończyło, rozprysnęliśmy się na chodniku dwanaście piętér niżej. Jak tylko Annie odrosły usta, nie mogła przestać się śmiać.

Chichotała i chichotała, a ja i moje odrastające właśnie z pokrwawionych strzępów uszy nie mogliśmy przestać jej słuuchać.



Z dawnych emocjonalnych pożarów obecnie zostało niewiele – wszyscy z każdym rokiem przygasaliśmy, coraz bardziej znudzeni naszym życiem, jak rozświetlane pojedynczymi iskrami zgłiszczka w mieście ruin, choć okolica była przecież nienaruszona. Mimo że nasze ciała nie zaznały żadnej rany, blizny ani skazy, to wewnątrz konaliśmy raz po raz i pod tym względem nigdy nie udało się nam zmartwychwstać.

Teraz cała intymność między mną a Anną sprowadzała się do tych kilku drobiazgów: pocałunek w policzek, uścisk na powitanie, złapanie się za ręce od czasu do czasu. Przypominaliśmy mające za sobą wiele wspóln-

nych dekad małżeństwo, mimo że nie byliśmy starcami, tylko ludźmi, których z powierzchni Ziemi zmiołto ledwie kilka dziesięcioleci nieśmiertelności.

Poprowadziła mnie na tyły Galerii Krakowskiej, w miejsce, do którego wcześniej się nie zapuszczałem, nie było po co: nudne zaplecza, nieciekawe korytarze, nieosłonięte rury biegnące pod sufitem i splekany tynk na szarych ścianach, wszystko perfekcyjnie odtworzone przez nano. Każda ułamana fliza, każdy rdzawy liszaj, rzeczywistość już na zawsze zatopiona w wiecznej teraźniejszości.

I nagle zauważyłem coś, czego nigdy jeszcze nie widziałem – miejsce zupełnie puste, jak pierwsza biała plama na barwnym płótnie świata, tylko że ta plama nie była wcale biała, lecz czarna.

Czarna dziura na ścianie, kształtem przypominająca drzwi, ale nie będąca nimi w żadnym calu: krawędzie tego czegoś przylegały do reszty budynku dzięki utkanym z cienia pajęczynom, wszystko w ciągłym ruchu i drzeniu. Pod cienistą, półprzezroczystą powierzchnią falowało popsute nano, nie było jednak srebrne i lśniące, bardziej przypominało ożywiony popiół, sproszkowane kości, pleśń na rozkładającej się tkance.

— Co o tym sądzisz? — zapytała Anna, stając trzy kroki od aberracji, jakby się bała, że to coś ją wciągnie, wessie w siebie i całe jej jestestwo wywróci na ciemne nice.

— Nigdy niczego podobnego nie widziałem — przyznałem, nie odrywając oczu od nakładających się na siebie warstw szarości i czerni. — Ale teoretycznie takie zjawisko jest możliwe. Wszyscy wiemy, że nano często się psuje.

— Psuje się w nas, żywych organizmach, ale nie kiedy replikuje materię nieożywioną — stwierdziła, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Powiedziała to w taki sposób, że pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczułem się nieswojo. Bo miała rację. Technologia rzeczywiście nie radziła sobie z imitowaniem życia, dlatego żadne zwierzęta – prócz kilku pokoleń zaszczepionych laboratoryjnych myszy – nigdy nie wróciły. Dlatego też wszyscy ludzie, którzy nie mieli jeszcze w ciałach nano, zniknęli wtedy, w 2024, i nigdy się nie odrodzili. My za to przestaliśmy się nawet starzeć. Zostało nas na całym świecie ledwie pół miliarda. Kopie przedmiotów były natomiast doskonałe. Nieśmiertelność okazała się jedyną skazą na ciele naszej cywilizacji.

— Może to początek jakiegoś większego błędu – zasugerowałem, jednak Anna w to nie wierzyła.

— Przecież jest przez cały czas takie samo — stwierdziła. — Nie znika ani się nie rozprzestrzenia. Jakby w kółko próbowało odrosnąć, ale nie mogło.

— W takim razie... to może być jakieś... wyjście — powiedziałem bezwiednie, w pierwszej chwili nawet nie zdając sobie sprawy, co naprawdę znaczą moje słowa.



— To wszystko wina naszych pierdolonych matek! — krzyczał Edward w noc przed swoją ostateczną ucieczką. — Matki na przemiał! Na przemiał!

Wtedy jego szaleństwo osiągnęło już takie rozmiary, że stało się żywiołem nie do opanowania. Zaczęłyby zabijać, gdyby w naszym świecie dało się kogokolwiek zabić. Wysadziłyby w powietrze całe miasto, gdyby tyl-

ko miał pewność, że następnego dnia nie odrośnie ono z ruin, wracając do swojej stałej postaci.

Śnił mi się nawet. W moich koszmarach był rzeką zeputego nano, jak gęsta lawa płynąca ulicami. Wyrastały z niego spopielone diabły, ogniste demony, językami płomieni pochłaniające wszystko wokół. Budziłem się ciężki i zniechęcony do podejmowania jakichkolwiek działań.

Kraków stał się za mały dla nas dwóch, jak to mawiali w antycznych westernach. Któryś z nas musiał wreszcie zakończyć tę chorą przyjaźń. On też o tym wiedział, i dlatego zniknął.

— Zerznąłem twoją dziewczynę — zaczął w końcu wyć, tłukąc łbem o ścianę. — Rznąłem ją z pięćdziesiąt razy!

Mysłał chyba, że mnie to zdenerwuje. Że będę chciał zrobić mu krzywdę. I że w tym świecie w ogóle da się komuś zrobić jakąkolwiek krzywdę.

— I co z tego? — odpowiedziałem. — W naszym mieście wszyscy zerznęli już wszystkich.

Wbił we mnie rozgniewane spojrzenie, jakby czekał, że dodam coś jeszcze. Mylił się. Nie było o co walczyć. Nic już niczego nie znaczy. Wszystko jest wieczne i tym samym wszystko straciło jakiegokolwiek znaczenie. Nie można niczego trwale utracić, więc nic nie jest niczego warte.

— Pierdolony debilu! — krzyknął na odchodne. — Jak ty tak możesz żyć?! Jak ty tak możesz istnieć?!

— Muszę tak istnieć, przecież nie mogę przestać. — Wzruszyłem ramionami. Byłem zmęczony jego nieustającą histerią i odruchowo zacząłem ziewać.

Nie odpowiedział, tylko wyszedł, trzaskając drzwiami. Nie mam pojęcia, dokąd mógł się wybrać. Gdziekolwiek nie pójdzie, od siebie nigdy nie ucieknie.

Mimo że nie byłem śpiący, zasnąłem niedługo potem i śnili mi się właśnie Edward z Anną. To był koszmar inny niż wszystkie, bo nie robili niczego, tylko siedzieli obok siebie na drewnianej ławeczce i patrzyli na dwoje dzieci bawiących się w piaskownicy. W tym śnie zrobiłem się potwornie zazdrosny, bo wiedziałem, że są szczęśliwi, a na dodatek te dzieci są ich – identyczne jasnowłose bliźniaki, jak dwie nowe blizny na mojej nieistniejącej duszy.

Potem się obudziłem i byłem śmiertelnie spokojny.

Nie czułem zazdrości.

Nikt nie był szczęśliwy.

Nikt nie miał żadnych dzieci.

W piaskownicy za oknem nano pieczołowicie rekonstruowało te same babki oraz zamki, które jakieś dzieciaki robiły tu przed laty.

Wiedziałem o tym, bo sam burzyłem je co dzień.

Nie stawałem się dzięki temu lepszym człowiekiem, ale przynajmniej miałem jakieś zajęcie.



— Chcesz w to wejść? Zwariowałeś? — Anna, zawsze skłonna robić wszystko, co tylko przyszło mi do głowy, tym razem miała poważne opory.

— A czemu nie? — zapytałem retorycznie, zerkając to na nią, to na samoodradzającą się przepaść. — Tylko pomyśl. Być może nigdy nie umrzemy. Życie z każdym dniem jest coraz nudniejsze, a co będzie za dziesięć lat? Za sto? Albo za milion? Skoro wszystkim przestało się chcieć cokolwiek już teraz. Jaki kosmiczny kataklizm musiałby się zdarzyć, żeby nano przestało nagle działać, przestało się replikować i naprawiać wszystko wokół,

z nami włącznie? Chcesz tak spędzić całą wieczność? Chcesz skończyć, jak Edward?

Na dźwięk jego imienia wzdrygnęła się. Nadal pamiętała jego koszmarną przemianę w coś, co wzbudzało jedynie nienawiść i najgłębszą pogardę. Po chwili jednak znowu się odezwała:

— Kiedyś wszyscy ludzie marzyli o życiu wiecznym, o nieśmiertelności. Modlili się o to każdego dnia. Czytałam w książkach.

— Bo byli idiotami! Nie mieli pojęcia, jak długo trwa wieczność. Ale my już wiemy. Najgorsza śmierć jest lepsza od tego, co się z nami dzieje.

Tym razem już nie odpowiedziała. Tak, jak ja gapiła się w anomalie, udając zaniepokojenie. Coś błyszczało w jej oczach, jednak nie miałem pewności, czy to łzy, czy może nano naprawiało przekrwione od niewyspania białka.

— Zrobisz to ze mną? — zapytałem, postępując krok w stronę kipiącej czerni.

Zacisnęła wargi, przeszywając mnie wzrokiem.

— Nie podoba ci się nasze życie? Ani trochę? — wypaliła wreszcie.

Wzruszyłem ramionami.

— Najbardziej nie podoba mi się, że donikąd nie zmierzamy. Zawsze jest tak samo i zawsze tak będzie. A ta osobliwość może zniknąć w każdej chwili. Kolejna szansa pewnie się już nie pojawi.

Milczała. Odwróciłem się do niej tyłem, uważnie przyglądając zjawisku.

— Przecież możesz mieć wszystko... — wyszeptala tak cicho, jakby zwracała się do siebie samej.

— Tylko że niczego już nie chcę — odpowiedziałem, znów zwracając się do Anny. Czarne drzwi pro-

wadzące w pustkę znajdowały się kilka centymetrów za moimi plecami, czułem je wyraźnie jak czyjąś obecność. Były niczym cień, który od zawsze miał mnie wiać w objęcia.

Stało się oczywiste, że ze mną nie pójdzie. Nie wiem, na co liczyłem. Nie bała się skakać z dachów i rozbijać samochodami o ściany budynków. Nie bała się, gdy się różnieliśmy, podrzynając sobie gardła, bo wiedziała, że się odrodzi, a to czyniło ją nieustraszoną. Ale ta rzecz ją przerażała. Nie lękała się śmierci, dopóki w jej żyłach krążyła niezawodna, połyskująca srebrzyście nieśmiertelność.

Nie miałem już nic do dodania. Anna nawet na mnie nie patrzyła. W tym kluczowym momencie naszego życia dostrzegła akurat coś ciekawszego na wyłożonej spękanyimi flizami podłodze.

Zmusiłem się do uśmiechu, który był przeznaczony dla zupełnie nikogo, a potem zrobiłem krok do tyłu i cały czas patrząc na Annę, wstąpiłem w mrok.



|...

*najpierw krzyk potem ciemność
nie wiem czyj jest krzyk wiem że ciemność jest moja
jestem teraz dwiema rzeczami naraz
dawnym sobą zamkniętym w ciasnym czarnym sześcianie niczym nowej czaszce
ale też wadliwym nano usiłującym zrekonstruować
moje niedawne ciało
rozbicie samego siebie na atomy to wcale nie koniec
pomyliłem się biorąc wejście za wyjście mój błąd
teraz już tylko i zawsze w tej rozbitej niedającej się naprawić formie
na wieki być tym procesem*

przeciwieństwem stałości
jak dziwny monument pomiędzy życiem a śmiercią
choć wiem więcej niż krok wcześniej i to boli bardziej niż cokolwiek
przecież nano w każdej sekundzie wykonuje własne kopie a mimo tego
niczego na niebie ani na ziemi nie przybywa
to zawsze była zagadka
co się dzieje z tym nadmiarem
gdzie trafia cała ta reszta której z dnia na dzień jest
we wzrastającym wykładniczo tempie coraz więcej
teraz już znam odpowiedź ale
jak to boli
jak to potwornie boli
przecież po całościowym zreplikowaniu idealnym odwzorowaniu jednej planety
naturalna jest ekspansja na kolejne
to było oczywiste od samego startu
twórcy nano zapomnieli o jakimś ograniczniku zresztą teraz to bez znaczenia
bo planet ziemia dokładnie takich jak nasza jest już więcej a będzie coraz więcej
wszystkie staną się takie to tylko
kwestia czasu
i na każdej żyją nasze wierne kopie
obecnie setki ale potem
miliony i miliardy i więcej więcej więcej
czuję to przecież
ta rozpacz tak się mnoży
czyim była moja pustka czy pustka edwarda
ten jednostkowy smutek skoro
wszędzie jest nas więcej dokładnie takich samych
nieśmiertelne kopie kopii
nawet nie jest powiedziane że to my byliśmy ci pierwsi oryginalni może już wcześniej
ktoś inny gdzieś
a my tylko jego wierne odwzorowanie
może nie było początku może

nie było żadnych ust może tylko krzyk
może wieczne echo i nic więcej
echo co niesie się przez przestrzeń
i to właśnie my
na samą myśl
matko
jak to boli

